

Krzysztof Kiciński

UCZCIWOŚĆ INTELEKTUALNA I NIEZAWISŁOŚĆ POZNAWCZA

Nie uważam, by dyskusja nad odpowiedzialnością za słowo mogła być dla etyka szczególnie płodna pod względem poznawczym, mimo że odpowiedzialność taka jest ze wszech miar godna uznania. Może zresztą właśnie dlatego. Chodzi bowiem o jeden z tych postulatów, które są słuszne w sposób oczywisty. A to, że jest on realizowany w stopniu wysoce niezadowolającym, nie ma nic do rzeczy, chyba że interesujemy się nim jako socjologowie lub psychologowie. Jeżeli jednak analizujemy zagadnienie jako etycy, to musimy zauważyć, że pojęcie „odpowiedzialności za słowo” jest pojęciem perswazyjnym – w takim sensie, w jakim używał go Ch. L. Stevenson – żaden akt braku odpowiedzialności za słowo na mocy definicji nie może być więc oceniony pozytywnie. Podobnie każdy przejaw odpowiedzialności za słowo jest zawsze czymś pozytywnym. W tym sensie sprawa jest jakby poza zasadniczym dyskursem etycznym.

Niemniej pewnego pogłębienia problemu możemy dokonać, analizując postulat odpowiedzialności za słowo w odniesieniu do różnych ról społecznych. Podobnie czyniła prof. Ija Lazari-Pawłowska, analizując z perspektywy różnych ról społecznych kodeksy etyki zawodowej. Okaże się wówczas, że czym innym jest postulat odpowiedzialności za słowo, gdy odnosimy go np. do rodziców komunikujących się z małym dzieckiem, czym innym – gdy odnosimy go do polityka wygłaszającego publicznie jakieś sądy, a jeszcze innym, gdy adresujemy go do uczonego.

Poprzestanę na kilku uwagach dotyczących tej ostatniej sytuacji. Choć zgadzam się z wypowiedziami, które wskazywały na pewną archaiczność tekstu Kazimierza Twardowskiego, to jednak uważam, że odznaczają się nią jedynie pewne wątki tego okolicznościowego wykładu. Inne zachowały aktualność i mogą nawet zaskakiwać świeżością. Zwłaszcza gdy podda się je życzliwej interpretacji – czy reinterpretacji – uwzględniającej przemiany zachodzące w naszych wyobrażeniach o charakterze nauk humanistycznych i epistemologicznym statusie twierdzeń wygłaszanych przez ich przedstawicieli.

Kazimierz Twardowski z niezwykłą mocą podkreślał, że nadrzędnym obowiązkiem uczonego, zwłaszcza uczonego uniwersyteckiego, jest bezwzględne dążenie do prawdy, uznawanie jej w wygłaszanych sądach za najważniejsze kryterium ich wartości, odporność na wszelkie pokusy i naciski, które mogą od prawdy oddalać lub umniejszać chęć jej wyrażania. Prawdę pojmował przy tym według definicji klasycznej, zaś weryfikację wszelkich wygłaszanych przez naukę i filozofię sądów wyobrażał sobie na kształt tego, co czyni się na ogół ze znacznym powodzeniem w naukach przyrodniczych. Ponieważ obecnie istnieje prawie powszechna zgoda co do tego, że status epistemologiczny większości sądów wygłaszanych przez przedstawicieli nauk humanistycznych jest pod różnymi względami odmienny (choćby specyficzne uwikłanie w nich wartościowań) niż twierdzeń formułowanych przez przyrodników – postulaty Twardowskiego adresowane do humanistów mogą się wydać nieporozumieniem.

Jeżeli jednak odczytamy myśl Twardowskiego życzliwie, zastanawiając się, jak można by ocalić przesłanie zawarte w jego tekście, reprezentując przy tym współczesny punkt widzenia na nauki humanistyczne, to możemy dojść do wniosku, że treścią jego rozważań jest intelektualna uczciwość uczonego, jego autonomia, „niezawisłość poznawcza” i odporność na naciski, które mogłyby mieć wpływ na to, co głosi i to, w co wierzy. Brak tych cech oddala uczonego od prawdy (i od prawdomówności) bez względu na to, jak tę prawdę w nauce rozumiemy. A ludzie oczekują od kogoś, kto funkcję uczonego pełni, prawdy i tylko prawdy. Oczekują bezstronności, niezawisłości sądu, rzetelności w przedstawianiu argumentów. Jego odpowiedzialność za słowo ściśle kojarzy się ze spełnianiem tych oczekiwań.

Ale, jak wiadomo, człowiek może odgrywać jednocześnie wiele ról społecznych. Uczony może być politykiem lub mieć ambicje polityka, przywódcy – nawet charyzmatycznego przywódcy – być dla ludzi czymś w rodzaju „guru”, zajmować wysokie prestiżowe stanowiska nie tylko w hierarchii czysto naukowej, pełnić funkcje administracyjne i inne, związane z podejmowaniem ważnych, lecz pozanaukowych decyzji. Oczywiście jest, że uczonego uwikłanego w inne role społeczne, wygłaszając różne „prawdy”, może ulegać naciskom wynikającym z odgrywania tych ról. Może dbać o to, by były one bardziej korzystne dla tych, a nie innych, miały odpowiedni wydźwięk – od propagandowego, po wychowawczy itp. Z socjologicznego lub psychologicznego punktu widzenia uleganie takim naciskom jest nawet czymś naturalnym. Jeżeli jednak stanowi ono niepokojący problem etyczny, to chyba dlatego, że wypowiedzi kogoś, kto odgrywa rolę uczonego, w społecznej percepcji będą traktowane przede wszystkim właśnie jako wypowiedzi uczonego: specjalisty, profesora, doktora, reprezentanta określonej dziedziny wiedzy (pomijam sytuację, gdy ktoś jest uznany za byłego uczonego), człowieka, który informuje nas bezstronnie, rzetelnie, w granicach swoich kompetencji. Rolę społeczną wyznacza zespół oczekiwań i takich właśnie informacji oczekujemy od uczonego. A ponieważ wpływ, jaki na treść tych

informacji może wywierać odgrywanie przez uczonego innych ról jest poza naszą kontrolą, tym bardziej traktujemy go jako fakt niedopuszczalny, jako nadużycie zaufania, manipulację, a więc i swoisty brak odpowiedzialności za słowo człowieka, któremu przypisaliśmy pewną rolę społeczną.

Lektura wykładu Kazimierza Twardowskiego pozostawia nieodparte wrażenie, iż jego gorące apele do uczonych uniwersyteckich o kierowanie się tylko prawdą nie były zawieszone w socjologicznej próżni. W dwudziestoleciu międzywojennym łączenie ról uczonego z innymi rolami nie stanowiło faktów odosobnionych. Konsekwencje tego w dziedzinie będącej przedmiotem naszej dyskusji, tzn. w dziedzinie odpowiedzialności za słowo, z pewnością wywoływały zaniepokojenie i odruch protestu uczonego i nauczyciela tej miary, co Twardowski. I z pewnością nie jest przypadkiem, że taki nacisk na ów problem położył człowiek, który przeszedł do historii nauki przede wszystkim jako wybitny nauczyciel. Uczciwość intelektualną, swoistą prawość w wypełnianiu obowiązków uczonego uczniowie wyczuwają z reguły bezbłędnie i działa ona na nich jak magnes.

Czas obecny jeszcze bardziej wyostrzył problem, na który, jak sądzę, chciał zwrócić uwagę Twardowski. To właśnie mam na myśli, mówiąc o świeżości niektórych wątków jego wykładu. Nie brakuje ostatnio przykładów uczonych, którzy odgrywając również inne role, niejednokrotnie zresztą społecznie doniosłe, nie spełniają w sposób zadowalający postulatów odpowiedzialności za słowo człowieka nauki. Nielatwo bowiem zachować uczonemu pełną intelektualną niezależność, obiektywizm, przedstawiać wszystkie racje za i przeciw, jeśli jest on jednocześnie czołowym ekspertem jakiegoś ruchu czy partii politycznej, nie mówiąc już o sytuacji, gdy sam wchodzi w rolę politycznego działacza lub przywódcy. Stwierdzając to, nie kwestionuję bynajmniej zasadności łączenia takich ról. Nie chcę też wyolbrzymiać problemu nieodpowiedzialności za słowo współczesnych uczonych. Uważam jednak, że problem taki istnieje i trzeba go podejmować, bowiem wartość przypisywana obiektywizmowi nauki i poczuciu odpowiedzialności jej przedstawicieli za to, co w imieniu nauki głoszą, jest społecznie doniosła. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby uległa erozji.

Sformułowane tu warunki odpowiedzialności za słowo człowieka nauki są surowe, ale pozostawiają wiele swobody dla indywidualnego stylu. Mogą je spełniać, jak sądzę, nie tylko uczeni szczególnie wrażliwi na solidne uzasadnienie wszystkiego co głoszą – tacy jak np. Maria Ossowska, Kazimierz Ajdukiewicz i inni przedstawiciele szkoły lwowsko-warszawskiej – ale również badacze i filozofowie stojący na gruncie mniej rygorystycznej metodologii. Nawet tacy uczeni-humaniści, jak Hegel, Marks, Freud czy Nietzsche, w świetle sformułowanych tu kryteriów, nie mogą być pomawiani o brak poczucia odpowiedzialności za słowo, choć ich dzieła pełne są myśli uzasadnionych słabo, a nawet gorzej niż słabo. Ważne jest jednak, że w to, co głosili, zdawali się

głęboko wierzyć, że odznaczali się poznawczą niezawisłością. Zaostrzenie kryteriów odpowiedzialności za słowo idące tak daleko, że pozwalałoby uznać ich twórczość za przejaw braku takiej odpowiedzialności nie wydaje się sensowne. Ich „nieodpowiedzialny” styl był bowiem zapewne jedynym stylem, w jakim potrafili tworzyć. Uniwersalizacja i jakaś absolutyzacja zaostrzonych kryteriów z pewnością ogromnie zubożyłaby dorobek myśli humanistycznej.